



12 Manna dla nieba



27 Jak traciliśmy złudzenia



53 Bajecznie bogaci Azjaci

Temat tygodnia

- 12 Agnieszka Sowa
Niejasne finanse Kościoła

Polityka

- 16 Malwina Dziedzic
Uskrzydłona koalicja
- 20 Ewa Siedlecka
Sędziowie od Ziobry
- 24 Rafał Kalukin
Strategie bitwy o Warszawę

Rozmowy Żakowskiego

- 27 Profesor Harvardu **Grzegorz Ekiert**, socjolog i politolog, o społecznej bazie dla populistycznej rebelii

Społeczeństwo

- 32 Piotr Pytlakowski
Policja: przepaszam, tu biją!
- 35 Martyna Bunda
Blokada polskich skarg do Strasburga
- 38 Joanna Cieśla
25 lat matury międzynarodowej

Rynek

- 40 Adam Grzeszak **O Alibabie, e-rozbójnikach i Allegro**

- 44 Cezary Kowanda
Obiecanki dla kierowców
- 46 Rozmowa z **Danielem Dziewitem**, byłym dziennikarzem i przedsiębiorcą, o tym, czy franczyza ma dziś sens

Świat

- 50 Edwin Bendyk
Ruch progresywny zastąpi lewicę?
- 53 Paulina Wilk INDIE
Bogaty jak Bollygarcha
- 56 Maciej Okraszewski BRAZYLIA
Potężny gang Cwaniaka

Historia

- 58 Jan Rózdziński **Rosja 1993: rebelia październikowa**
- 61 Adam Krzemiński ESEJ
Młody Willy Brandt o Polsce i nowej Europie

Nauka

- 64 Agnieszka Krzemińska
Wykopaliska w Woodstock
- 68 Paweł Walewski
Bomba cholesterolowa

Ludzie i style

- 72 Marcin Piątek
Powrót wioślarzy nad Wisłę

- 76 Urszula Schwarzenberg-Czerna
J.K. Rowling – od pisarki do mentorki

Kultura

- 82 Rozmowa z **Filipem Bajonem**, reżyserem filmu „Kamerdyner”, o paradoksach kaszubskiej historii
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 86 Piotr Sarzyński
Krakowskie wystawy o Polsce
- 90 Aleksandra Żelazińska
Narodowe nieczytanie
- 92 Dorota Szwarcman
Pierwszy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych
- 93 **Tadeusz Drewnowski: wzorzec z Sèvres**

Na własne oczy

- 100 Jakub Knera, fotografie Anna Rezulak
Podwójne życie stoczni

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 49 Przegląd informacji rynkowych
- 78 Afisz • 94 Passent
- 95 Tym • 96 Hartman
- 97 Fusy • 98 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje

PRENUMERATA PAKIETOWA

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystrybucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich tych z Państwa, którzy mieli problemy z zakupem POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej.

To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.

Czytaj też na s. 98.

Gdzie Rzym, gdzie Krym



Jerzy Baczyński

Wystąpienie Andrzeja Dudy w Leżajsku – to tam o Unii Europejskiej powiedział jako o „wymagowanej wspólnocie, z której dla nas niewiele wynika” – zostało już przenicowane i skomentowane na różne strony. Wyjątkowo twardej, jak na swoje maniere, odpowiedzi udzielił były prezydent Aleksander Kwaśniewski, określając wypowiedź Dudy jako „nieprawdziwą, niebezpieczną, sprzeczną z polską racją stanu”. Nie tylko on odebrał całą unijną część przemówienia Dudy jako zapowiedź – jeśli nie wyprowadzenia Polski z Unii, to, jak się obrazowo mówi, wyprowadzania Unii z Polski – a na pewno ignorowania i obrzydzenia Wspólnoty.

Pytanie oczywiste: czy Duda tylko (co mu się coraz częściej zdarza) nakręcił się wiecowo i coś tam „palnął”, czy też niechcący wyraził publicznie to, o czym mówi się w gabinetach obecnej władzy? Zwolennicy, również w PiS, minimalizowania wagi tej deklaracji sugerują, że chodziło po prostu o rywalizację między prezydentem i premierem na retoryczny radykalizm i polityczną niezłomność. Inni wskazują na zamysł jakiegoś propagandowego uprzedzenia kolejnych kroków „wobec Polski” w procesie o naruszanie zasad praworządności z art. 7 Traktatu UE (właśnie objęto nim też bratnie Węgry, s. 8 i 10). I można by pewnie interpretację mowy leżajskiej w tym miejscu porzucić, gdyby nie nieoczekiwane wystąpienie prezydenckiego doradcy Andrzeja Zybortowicza, który „palnięciu” nadał rangę śmiertelnie poważnej koncepcji geopolitycznej.

Profesor Zybortowicz pytany (w „Polska The Times”), o czym prezydent Duda będzie rozmawiał w Waszyngtonie z Donaldem Trumpem, powiedział, że prezydent RP jedzie tam z koncepcją Trójmorza jako Planu B wobec obecnej integracji europejskiej. „Gdyby – mówi doradca – Donald Trump chciał być inicjatorem jakiegoś funduszu Trumpa, na wzór dawnego planu Marshalla”, to 12 państw Trójmorza urosłoby w siłę, co „nie musi się krajom starej Unii podobać”. Ale „czas, żeby Niemcy zrozumieli, że sojusz Polski z USA to nie jest tylko nasza fanaberia”. Profesor dorzuca metaforę: „po upadku Rzymu Cesarstwo Bizantyńskie – czyli Rzym Wschodni – przetrwało jeszcze 1000 lat... To ze wschodu Europy może przyjść rozwiązanie problemów (Europy)”. Krótko: Polska, jeśli Trump to poprze, może stanąć na czele Nowej Europy Wschodniej, Planu B dla wymyślonej, zdominowanej przez Niemcy, wspólnoty Zachodu. Normalnie można by koncepcje Andrzeja Zybortowicza uznać za, powiedzmy, ekscentryczne, gdyby nie to, że Andrzej Duda naprawdę pojechał do Stanów Zjednoczonych, skąd, poza korzyściami wizerunkowymi dla siebie, ma przywieźć ewentualne deklaracje „jeszcze większego zwiększenia” obecności amerykańskich żołnierzy w Polsce i „specjalnego sojuszu Ameryki z Polską”. Otóż, stawiam tezę, że w Leżajsku Andrzejowi Dudzie wymknęła się część narracji przygotowywanej dla Trumpa.

O tym, że Unia jest przeżytkiem i sztuczną wspólnotą (tak samo zresztą jak NATO), Trump mówi chętnie i przy każdej okazji. Kokietując prezydenta USA, PiS i Duda ochoczo wpisują się w jego pogląd, że sojusze sojuszami, ale liczą się głównie

interesy i ogólnie *good business*, czyli że my np. w zamian za ochronę będziemy kupować w USA sprzęt wojskowy, zapłacimy dodatkowo za amerykańskie bazy, a jeszcze wesprzemy amerykańskie korporacje internetowe w walce przeciwko unijnym regulacjom chroniącym europejskich, w tym nawet polskich, twórców (s. 7). Radosław Sikorski w podsłuchanej rozmowie nazywał taką, zawsze w Polsce obecną, postawę przymilania się do USA „murzyńskością”. Geopolityczny koncept PiS wygląda dziś chyba tak: bezpieczeństwo militarne kraju opieramy tylko na dwustronnych porozumieniach z USA, natomiast Unię Europejską widzielibyśmy zredukowaną do technicznego wspólnego rynku, bez jakiegokolwiek – niewygodnego dla „suwerennej władzy” – nadatku politycznego.

PiS jest tu zresztą konsekwentny: zawsze, gdy chodzi o wzmocnienie Unii, jest przeciw. W ubiegłym tygodniu kończącej kadencję szef Komisji Europejskiej J.C. Juncker przedstawił rozległy i, jak na biurokrację brukselską, wyjątkowo konkretny nowy plan dla Europy. W każdym punkcie PiS już jest lub będzie na nie. Przeciwko zwiększeniu roli i upolitycznieniu instytucji unijnych – w tym rozszerzeniu zasady głosowania większościowego, przeciwko wspólnej polityce migracyjnej i wspólnej straży granicznej Frontexu, powołaniu prokuratury europejskiej, kontroli internetu wymierzonej w trollów i botową propagandę, bezwzględnemu wykonywaniu wyroków Trybunału UE (co Juncker z naciskiem podkreślał), przeciwko suwerenności europejskiej, rozumianej też jako polityczna i ideowa odpowiedź na „kryzys Zachodu” w epoce Trumpa. Jedyne, z czym pewnie rząd PiS się zgodzi, to zaniechanie zmiany czasu z letniego na zimowy.

PiS należy do tych europejskich formacji, które Unii nie szanują, „miesząc ją z błotem”, jak mówił Juncker, cynicznie wykorzystując ją jako parawan i wroga w polityce wewnętrznej. Według zasady: atakujemy Unię za jej słabości i niesprawności, ale nie pozwolimy jej naprawiać. Zamiast wzmocnienia realnej Unii PiS próbuje więc tworzyć jakąś wymyśloną wspólnotę: wielkiej Polski katolickiej z Ameryką Trumpa, ze zdominowanym przez Polskę Trójmorzem oraz gospodarczo służebną, bezzębną, starą Unię w tle. Taki świat nie istnieje i raczej nie powstanie. Już za kilka miesięcy będziemy mieli okazję policzyć się w wyborach europejskich i nie wydaje się, aby, mówiąc symbolicznym skrótem, Europa Orbána wygrała z Europą Macrona. Dla Polski będzie to jednak faktycznie drugie referendum unijne, moment ponownego samookreślenia Polaków (polecam tu obszerny, arcyciekawy wywiad z prof. Grzegorzem Ekiertem, s. 27). Ale jeszcze szybciej, bo już w listopadzie, odbędzie się pierwsza tura geopolitycznych głosowań: to wybory do Kongresu USA. Przegrana republikanów może być dotkliwym ciosem dla europejskich populistów – także polskich – i dla całej trumpolityki.

A wizja nowego Bizancjum, Drugiego Rzymu, ma, niestety, prawdziwą historyczną pointę: po upadku Bizancjum na wschodzie zapanował Trzeci Rzym – tak samą siebie nazwała Moskwa. Więc ostrożnie z metaforami: karmiąc absurdalne rojenia, ryzykujemy utratą realnego wpływu na własne losy.



KOMENTARZ

Jak wyszedł sędzia Zabłocki

Ewa Siedlecka



Prezydent Andrzej Duda wysłał siedmioro sędziów Sądu Najwyższego w stan spoczynku. Postanowił nie czekać ani na wyrok Trybunału Sprawiedliwości w sprawie zgodności przepisów o wcześniejszym wieku emerytalnym sędziów SN z traktatem o UE, ani nawet na decyzję TSUE w sprawie zawieszenia ich działania. Polityka faktów dokonanych ma pozbawić te rozstrzygnięcia wykonalności.

Prezydent zignorował też orzeczenie SN zawieszające przepisy posyłające sędziów w stan spoczynku. A więc złamał konstytucję, bo żaden przedstawiciel władzy, podobnie jak żaden inny człowiek podlegający polskiemu prawu, nie może odmówić zastosowania się do prawomocnego rozstrzygnięcia sądu.

Niestety, uchwały sędziów SN o zawieszeniu działania przepisów emerytalnych do czasu rozstrzygnięcia TSUE nie uznał za obowiązującą sędzia SN Stanisław Zabłocki. Po otrzymaniu od prezydenta pisma o przeniesieniu w stan spoczynku napisał oświadczenie, że „będzie się czuł” nadal sędzią w stanie czynnym, ale „poddaje się rygorowi wskazanemu w doręczonym piśmie”. Dalej tłumaczy, że choć uważa, że przepisy o skróconym wieku emerytalnym i pismo prezydenta są sprzeczne z konstytucją, to on nie czuje się uprawniony, żeby je sądzić, bo nie jest sądem. Zaś co do uchwały SN zawieszającej działanie przepisów stwierdza, że jego zdaniem to zawieszenie możliwe jest tylko w stosunku do dwóch sędziów ze składu, który zadał pytanie prawne TSUE. Ma oczywiście pełne

prawo do własnych poglądów prawnych i w tym akurat przypadku nie jest odosobniony. Ale nie da się ukryć, że dał tym samym argument prokuraturze, która już zapowiedziała karne ściganie sędziów, którzy zadali pytanie prawne TSUE, i tych, którzy uznaliby za obowiązujące zawieszenie działania przepisów i orzekali nadal.

Czworo kolejnych sędziów SN „przeniesionych” w stan spoczynku przez prezydenta w oświadczeniach stwierdziło, że pozostają w służbie czynnej, uznając przepisy i pismo prezydenta za niekonstytucyjne. Ale powstrzymają się od orzekania dla dobra osób, których sprawy mieliby sądzić, bo zdają sobie sprawę, że ich wyroki mogą być przez władze kwestionowane. To sędziowie Anna Owczarek, Maria Szulc, Wojciech Katner, Jacek Gudowski i Józef Iwulski. Sędzia Jerzy Kuźniar nie złożył żadnego oświadczenia. A więc czworo sędziów uszanowało uchwałę SN. Na szczęście.

W wywiadzie dla najnowszej „Kultury Liberalnej” Jarosław Gowin, były minister sprawiedliwości, mówi: „Chyba mają państwo świadomość, że po naszych rządach nie ma już powrotu do tego, co było. (...) wymiar sprawiedliwości w takim kształcie, jaki istniał przed rządami Zjednoczonej Prawicy, nie zostanie już przywrócony”. Można to uznać za oficjalne credo rządów PiS.

Do dotychczasowego systemu wymiaru sprawiedliwości można mieć szereg zarzutów, ale jedno trzeba przyznać: sędziowie mieli gwarancje niezawisłości i orzekali niezawisłe. Nowy paradygmat ma polegać na likwidacji tej niezawisłości. Temu służą wszczynane w całym kraju postępowania dyscyplinarne i lustrowanie orzecznictwa sędziów dla znalezienia tam pretekstów do takich postępowań. W Ministerstwie Sprawiedliwości powstał w tym celu zespół doradczy do spraw etyki i postępowań dyscyplinarnych sędziów, kierowany przez wiceministra Łukasza Piebiaka, złożony z urzędników ministerstwa i wyznaczonych przez ministra Ziobrę rzeczników dyscyplinarnych.

Prokuratura grozi sędziom, w tym sędziom Sądu Najwyższego. Jeśli PiS uda się zlikwidować wewnętrzną niezawisłość sędziów, będzie to ostateczna klęska wymiaru sprawiedliwości i opartego na nim państwa prawnego.

ACTA 2 nie było i nie będzie

W pracach nad unijną dyrektywą o ochronie praw autorskich nastąpił kolejny gwałtowny zwrot. Parlament Europejski zdecydowaną większością głosów (438 przeciwko 226) przyjął 12 września projekt nowego prawa, mimo że w lipcu głosował przeciwko propozycji Komisji Europejskiej. Przegłoszowany dokument uwzględnił 200 poprawek. O ostatecznym kształcie dyrektywy zadecyduje tzw. trilog, czyli proces negocjacji pomiędzy Komisją Europejską, Radą Unii Europejskiej i europarlamentem. Na końcu drogi pozostanie wdrożenie nowego aktu do systemów prawa lokalnego.

Przyjęty projekt zawiera dwa najbardziej kontrowersyjne artykuły: 11 i 13. „Jedenastka” zobowiązuje serwisy agregujące treści, jak Google News, by dzieliły się z producentami treści (głównie wydawcami prasowymi) wpływami, jakie uzyskują, publikując „snippets”, czyli krótkie fragmenty oryginalnych artykułów. Większość użytkowników poprzestaje na takiej skróconej informacji, nie wchodząc w konsekwencji do oryginalnego serwisu. Ruch i kasa zostają w Facebooku lub Google.

„Trzynastka” nakłada z kolei obowiązek na platformy internetowe gromadzące i udostępniające treści, by aktywnie kontrolowały ich legalność w sytuacji, gdy nie dysponują odpowiednią licencją udzieloną przez producenta. Regulacja ta po poprawkach została ograniczona do największych serwisów, jak Facebook i YouTube. Zdaniem krytyków narzuca ona konieczność totalnego monitoringu treści publikowanych przez internautów. Można to zrobić,

jedynie automatyzując ten proces, co z kolei oznacza olbrzymią liczbę pomyłek i przypadków usuwania z obiegu treści legalnych.

Dyrektywa przewiduje mechanizmy odwoławcze od decyzji platform, będą one jednak wdrażane na poziomie krajowym i trudno w tej chwili przewidzieć ich skuteczność. Nie oznacza to jednak, że dyrektywa wprowadza mechanizmy cenzury prewencyjnej, jak przekonują najzagorzalsi przeciwnicy nowego prawa, określając je mianem ACTA 2. Nowe prawo ujednocza regulacje, jakie dotychczas były domeną wewnętrznych regulaminów internetowych korporacji, i w efekcie wzmacnia nie tylko pozycję producentów treści, ale także zwiększa szanse użytkowników w dochodzeniu swoich praw wobec arbitralnych decyzji gigantów sieci.

Głównym wyzwaniem internetu nie jest walka z wyimaginowanym zagrożeniem cenzurą lub twórczą wolnością ze strony kultury instytucjonalnej. Jest nim obrona sieci jako coraz ważniejszej części sfery publicznej przed monopolistyczną dominacją globalnych cyfrowych platform, która grozi nie tylko wolności, lecz także okazała się niebezpieczna dla samej demokracji. Mądrzejsi o doświadczenia rozwoju internetu ostatnich lat wiemy, że monopolowi temu nie są w stanie przeciwstawić się pojedyncze państwa, odpowiednią mocą dysponuje dopiero Unia Europejska. Przekonał się także, że zdrowa sfera publiczna i mocna kultura potrzebują silnych instytucji. Wynik głosowania europarlamentu nad projektem dyrektywy o prawie autorskim jest wyrazem tej świadomości.

EDWIN BENDYK



Déjà vu

Polak Węgier dwa bratanki... Niestety, dziś odnosi się to do smutnego faktu rozpoczęcia w stosunku do rządów obu tych państw procedury z artykułu 7 Traktatu o Unii Europejskiej.

Zeby było jasne: smutne jest to, że instytucje wspólnotowe, tzn. Komisja Europejska i Parlament Europejski, były zmuszone skierować sprawę łamania praworządności w Polsce i na Węgrzech do Rady, czyli do przedstawicieli krajów członkowskich UE, z żądaniem przeprowadzenia kolejnych rozmów, a w sytuacji braku współpracy – wyciągnięcia konsekwencji. Zmusił je do tego kroku nie kto inny niż rząd PiS i rząd Fidesz, które demonstracyjnie nie przestrzegają ani prawa krajowego, ani unijnego.

Nigdy jeszcze artykułu 7 nie stosowano, więc poziom doświadczenia w tej mierze jest zerowy. Wątpliwe jest doprowadzenie procedury do końca, czyli do odebrania danemu rządowi głosu w Radzie, bo na pewnym etapie wymaga ona jedności. A dwa bratanki już teraz zapewniają, że będą się wzajemnie bronić. Jednak sam fakt jej uruchomienia stawia i Polskę, i Węgry poza centrum decyzyjnym, osłabia prestiż, pozycję i wpływy.

Viktor Orbán przyjechał w zeszłym tygodniu do Parlamentu Europejskiego na debatę o sytuacji na Węgrzech, a ja miałam wrażenie *déjà vu*. Bo identycznie jak w debacie o Polsce, z obecnością Beaty Szydło czy Mateusza Morawieckiego, brawo bili mu europosłowie jego partii oraz eurosceptycy zasiadający po skrajnie prawej stronie sali plenarnej, angażujący się w rozbijanie Unii. Znowu więc było słychać entuzjazm członków partii, której grozi rozpoczęcie

obserwacji przez niemiecki kontrwywiad, Alternative für Deutschland czy kolegów Marine Le Pen, wspieranych przez Moskwę. Dołączyło do nich PiS, na czele z posłem Legutką i jego wystąpieniem jak zawsze wyrażającym głęboką niechęć do przestrzegania wspólnego prawa i do przedstawicieli Unii w ogóle, a do Fransa Timmermansa w szczególności. Poseł Korwin-Mikke wprawdzie opuścił ławy Parlamentu Europejskiego (podobno dlatego, że przegrał proces z Michałem Bonim), ale w jego imieniu zbliżone bzdury bardzo głośno wykrzykiwał jego następca, który oczywiście bronił rządu Fideszu. Towarzyszyły temu zachwycone oklaski Jacka Saryusza-Wolskiego, zasiadającego dziś wśród deputowanych niezrzeszonych, nieopodal posłów nacjonalistycznego Jobbika i posła Udo Voigta z neonazistowskiej NPD, który słynie z wypowiedzi np. o tym, że Niemcy powinni mieć kanclerza jak Putin.

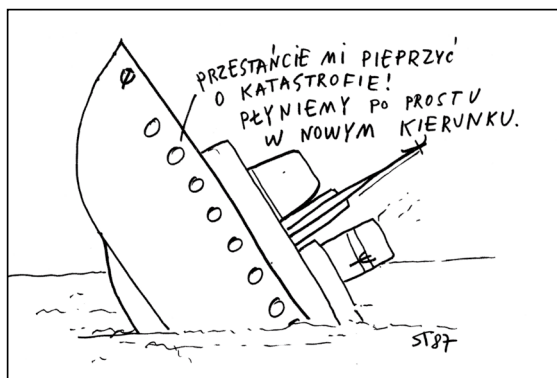
Populiści są wprawdzie głośni, ale ogromna większość eurodeputowanych jest zdecydowanie przeciw niszczeniu praworządności i głosuje za rezolucjami. Tak samo jak wtedy w debacie o Polsce, tak i teraz wielu posłów podkreślało, że krytyka nie dotyczy wszystkich Węgrów, tylko obecnego na sali Viktora Orbána i jego rządu. Orbán i jego Fidesz postanowili zaskarżyć wynik głosowania do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, zarzucając mu błędy proceduralne.

I znowu *déjà vu*: według tej samej procedury głosowaliśmy odwołanie Ryszarda Czarneckiego z funkcji wiceprzewodniczącego PE. Przegrał i zaskarżył decyzję do Trybunału. Jedno jest dziwne: po kolejnym głosowaniu, kiedy znowu zgodnie z tą samą procedurą

na jego miejsce został wybrany Zdzisław Krasnodębski – nikt nie poskarżył się w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości, że zastosowana procedura była błędna. Przeoczenie? Nie sądzę.

Zeszłotygodniowa sesja Parlamentu Europejskiego w Strasburgu była pełna intensywnych debat, trudnych kompromisów i głosowań, emocjonalnych wystąpień. Poza rezolucją dotyczącą łamania prawa przez rząd Fideszu mieliśmy głośną sprawę praw autorskich na cyfrowym, wspólnym rynku Unii Europejskiej, Europejski Fundusz Solidarności i pomoc dla krajów UE dotkniętych katastrofami naturalnymi czy tematy takie, jak przeciwdziałanie sprzedawaniu produktów różnej jakości, ale w tym samym opakowaniu, w poszczególnych krajach Unii i wiele, wiele innych.

Sledzę debatę i informacje w polskich mediach publicznych i ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, jak wybiórczo, niekompetentnie i nieuczciwie jest komentowane to, co dzieje się na europejskiej agorze. O tym, że dla terenów północno-zachodniej Polski, dotkniętych w 2017 r. wicherami, otrzymaliśmy 12,2 mln euro nigdzie ani słowa. Może dlatego, że posłem, który przeprowadził procedurę w Parlamencie Europejskim, jest Janusz Lewandowski z PO, a może też dlatego, że ta suma mogła być przynajmniej dwa razy wyższa, gdyby rząd wystąpił do Komisji Europejskiej z wnioskiem o dopłatę szybkiej, bardziej profesjonalnie oraz gdyby korzystał z szacunków strat wyliczonych przez samorządy, a nie podawał własnych, niepełnych wyliczeń.



O tym, że poczyniono duży krok w kierunku milionów Polaków, którzy skarżą się na to, że proszki tych samych firm co na Zachodzie, ale kupowane w kraju, piorą gorzej, ciasteczka maślane mają mniej maśła, a więcej oleju palmowego, ryby w konserwach są inne, a czekolada ma mniej orzechów – z mediów

publicznych nie usłyszymy. Nadal jest to temat, którym zajmują się przede wszystkim posłowie z naszej części Europy, bo w nas te praktyki uderzają, ale w głosowaniu uzyskaliśmy wsparcie całego Parlamentu, co przyspieszy wprowadzenie potrzebnych nam regulacji i lepszą kontrolę firm i produktów.

Ruszyła natomiast zmasowana kampania wmawiająca użytkownikom internetu i mediów społecznościowych, jakoby Unia, przy udziale Platformy Obywatelskiej, wprowadzała cenzurę i inne straszne rozwiązania. Widać, że mówiący te rzeczy nie mieli w rękę tekstu, o którym dyskutują, i nawet nie wiedzą, że to dopiero jest projekt, który porządkuje stosunek praw autorskich do praw użytkowników. Teraz ma szansę zająć się nim w Radzie odpowiedni minister z rządu PiS i wpłynąć na jego ostateczną formę. Ale TVP coraz wyraźniej krzyczy o tym, jaka UE jest zła i jak walczy przeciwko wolności. A poza tym, po co nam fakty i wiedza? Przecież pierwsza osoba w państwie wyraźnie powiedziała, że to jest wymaginowana wspólnota, a w dodatku do niczego nam niepotrzebna.

Rusza *Alfabet buntu*

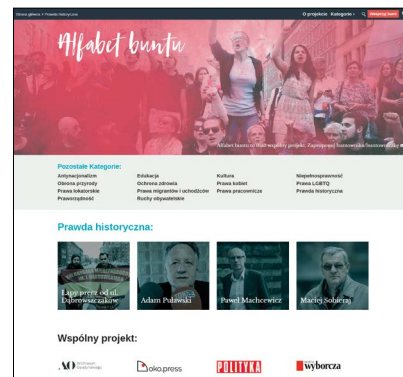
Trochę to trwało, ale wreszcie, dzięki społecznej pracy wielu osób, udało się doprowadzić do finału (a właściwie do startu) projekt, o którym myśleliśmy już na początku 2016 r., zakładając – z grupą dziennikarzy wyrzuconych z mediów publicznych – Fundację Ośrodek Kontroli Obywatelskiej i portal OKO.press.

Rusza internetowe archiwum dokumentujące społeczny ruch oporu przeciwko nadużyciom i nieprawościom władzy. Nazywa się Alfabet Buntu i jest wspólnym przedsięwzięciem OKO.press, działającego przy tym portalu Archiwum Osiatyńskiego (które gromadzi, opisuje i komentuje rozmaite przejawy naruszenia prawa przez „państwo PiS”), a także redakcji i dziennikarzy „Gazety Wyborczej” oraz POLITYKI.

Zebrałiśmy w jednym miejscu, pod jednym adresem, fotografie, biogramy, wypowiedzi setek osób – organizatorów demonstracji, aktywistów ruchów obywatelskich i społecznych, wyrzuczonych z pracy i szykanowanych „sygnalistów”, wszelkiego sortu „buntowników stanu”. Są tu organizatorki protestów kobiet, aktywiści ruchów ekologicznych, obrońcy praw pracowniczych i praw migrantów, także osoby i organizacje działające na rzecz obrony prawdy historycznej i niezależności kultury (jak choćby współpracujący także z POLITYKĄ graficy Ola Jasionowska, autorka plakatu

Strajku Kobiet, czy Luka Rayski, twórca słynnego plakatu Konstytucja). Opisujemy akcje, w których uczestniczyli, dokumentujemy szykany, jakim byli poddawani, zamieszczamy kalendarium zdarzeń, medialne komentarze.

To, jak mówimy, repozytorium jest wyrazem naszego podziwu i podziękowania, a jednocześnie fascynującym raportem z Polski, opowieścią o nowych narodzinach polskiej demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. To chyba jedyna zasługa, jaką możemy zapisać na konto obecnej władzy: przekonaliśmy się, że nie ma (a już na pewno nie będzie) demokracji bez demokratów, ludzi gotowych poświęcić najważniejszym publicznym wartościom swój czas, często spokój, bezpieczeństwo, nawet wolność. Bez nich już bylibyśmy przegrani, a nasza republika pozamiatana. To, że są, że mają odwagę występować, niekiedy w pojedynkę przeciwko opresji państwowego, partyjnego aparatu, to wielka dla nas nadzieja i otucha.



Od czasów pierwszej Solidarności towarzyszą nam słowa Miłosza, wyryte na gdańskim pomniku Ofiar Grudnia, „zapisane będą czyny i rozmowy” – nakaz, aby pamiętać tych, którzy krzywdzą, i tych, którzy mają odwagę protestu. Być może trzeba będzie kiedyś, niedługo, sporządzić polski „alfabet wstydu”, spis gorliwych organizatorów i wykonawców bezprawnych poleceń władzy, rejestr nadużyć i podłości. Ale dziś Alfabetem Buntu chcemy wesprzeć nowych liderów naszej wspólnoty, po raz kolejny w historii poddawanej próbie charakterów. Teraz pożyczamy hasło od władzy: „im się to po prostu należy!”

JERZY BACZYŃSKI

Szukaj na www.archiwumosiatsynskiego.pl/alfabet-buntu



REKLAMA

Radisson **BLU**
RESORT, ŚWINOUJŚCIE

#BluView
NA MORZE

REZERWUJ

+48 91 40 40 700, reservations.swinoujscie@radissonblu.com

HOTELS DESIGNED TO SAY YES!



Ekshumacja dyktatora

Rodzina Francisco Franco ma dwa tygodnie na wybranie nowego miejsca pochówku byłego dyktatora Hiszpanii – tak głosi dekret przegłosowany w ostatni czwartek w parlamencie przez wszystkie ugrupowania z wyjątkiem prawicowych Partii Ludowej (po transformacji demokratycznej założonej przez byłych frankistów) oraz Ciudadanos. Od śmierci w 1975 r. generał spoczywa bowiem w najbardziej eksponowanym miejscu Doliny Poległych, wybudowanej z jego rozkazu monumentalnej bazyliki w górach na zachód od Madrytu, którą wieńczy kryształowy Pałac Kultury. Miejsce spoczynku dyktatora od dawna oburza opinię publiczną: skrajna prawica regularnie urządza tam pielgrzymki, a zarządzający kompleksem benedyktyni udzielają ślubów i wynajmują na wesela salę z zastawą dekorowaną frankistowskimi orłami.

Hiszpański parlament jeszcze w maju zeszłego roku przegłosował ekshumację Franco, ale rządząca wtedy Partia Ludowa odmówiła wypełnienia pozabawionej mocy wykonawczej uchwały. W czerwcu straciła władzę, a premierem został socjalista Pedro Sánchez, dla którego symboliczne przeniesienie szczątków dyktatora jest jednym z najważniejszych celów politycznych. Ponieważ na operację nie zgadzała się ani rodzina generała, ani zarządzający mauzoleum benedyktyni, Sánchez sięgnął po kruczki prawne. Jego rząd uchwalił w tej sprawie zatwierdzony przez parlament dekret, którego nie da się zaskarżyć w sądzie. Przeciwnie ekshumacji wnuki generała nie mają więc wyboru i muszą poszukać nowego grobu dla dziadka – choć dokładna data wykopania jego szczątków nie jest podawana do informacji publicznej, żeby uniknąć manifestacji skrajnej prawicy.

Równanie bratanków

Polska nie jest już sama w procedurze o poważne naruszenie wartości Unii.

Dokładnie 12 września Parlament Europejski zdecydował, że naruszają je również Węgry. Była to reakcja na raport holenderskiej posłanki Zielonych **Judith Sargentini**, która przekonywała, że dziś Węgry nie zostałyby już przyjęte do Unii. „Rząd Węgier uciszył niezależne media, nałożył kaganiec na naukę, zastąpił sędziów takimi, którzy są bliżsi rządzącej partii, zdecydował, które Kościoły mogą działać”. Ostatecznie ten parlamentarny akt oskarżenia przeszedł dużą większością głosów (448 do 197) głównie dlatego, że obronę Budapesztu opduściła Europejska Partia Ludowa (EPP), do której należy Fidesz, partia Viktora Orbána.

EPP od dawna ma z nim problem. Szefostwo największej frakcji w europarlamencie obawia się, że wypchnięcie Fideszu może nie tylko zapoczątkować budowę potężnej koalicji eurosceptyków przed majowymi eurowyborami, ale odbierze również poparcie zrzeszonym w EPP partiom chadeckim, bo wielu ich zwolenników popiera np. antyimigracyjną politykę Orbána. W zeszłotygodniowym głosowaniu szefostwo EPP nie zarządziło jednak dyscypliny w obronie Orbána, bo czuje presję również z drugiej strony. Lada moment do europejskiej polityki ma wkroczyć prezydent Francji Emmanuel Macron, tworząc proeuropejską koalicję, która zapewne „podgrzyzie” EPP z drugiej strony.

Sama procedura wobec Węgier nie zajdzie daleko – teraz trafi przed Radę UE, gdzie ugrzęzła również sprawa Polski. Tam potrzebna jest większość 22 państw członkowskich, aby otworzyć kolejny etap. Gdyby jednak EPP wyrzuciła Fidesz ze swego grona, sprawa Węgier może się okazać początkiem końca starego porządku partyjnego w europarlamencie.

Kozłowska w Bundestagu

Pod hasłem „Prawa człowieka w niebezpieczeństwie – demontaż praworządności w Polsce i na Węgrzech” 13 września dyskutowali w Bundestagu przedstawiciele organizacji pozarządowych. Była wśród nich obywatelka Ukrainy **Ludmiła Kozłowska**, uznana nad Wisłą za persona non grata. W połowie sierpnia Kozłowska, prezes warszawskiej Fundacji Otwarty Dialog, musiała opuścić terytorium Unii Europejskiej, po tym jak polskie władze wpisały ją do Systemu Informacyjnego Schengen (SIS) jako osobę niepożądaną. Mimo to niespełna miesiąc później przybyła



© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

do Berlina – dzięki krótkoterminowej wizie wystawionej jej przez ambasadę Niemiec w Kijowie. – *Przed wydaniem wizy Urząd Spraw Zagranicznych był w kontakcie ze stroną polską. Dostępne nam informacje nie pozwalały na odrzucenie wniosku* – tłumaczy biuro prasowe niemieckiego MSZ. Kozłowską zaprosiło do Berlina troje niemieckich polityków: Frank Schwaabe (SPD), Andreas Nick (CDU) i Gyde Jensen (FDP). – *Wydarzenie było planowane jeszcze przed przerwą wakacyjną niemieckiego parlamentu* – mówi Schwaabe.

Nieliczne niemieckie media, które zainteresowały się sprawą, zastanawiają się,

czy Polska nie nadużyła SIS do pozbycia się niewygodnej działaczki. Przypominają, że jej polski mąż Bartosz Kramek wzywał w mediach społecznościowych do „obywatelskiego nieposłuszeństwa” wobec rządów PiS. Wyjaśnienia ABW, że istnieją „poważne wątpliwości” w sprawie finansowania Fundacji Otwarty Dialog, Deutsche Welle zbywa jako enigmatyczne. Dziennik „Die Welt” zauważa zaś, że polskie urzędy „niejako zrównują działaczkę na rzecz praw człowieka z terrorystami i sprawcami najcięższych przestępstw”. Po stronie władz w Warszawie stała za to Alternatywa dla Niemiec (AfD). Jej poseł Jürgen Braun oświadczył, że berlińska dyskusja z udziałem Kozłowskiej to afront zrobiony „wiernym przyjacielom Niemiec”. „Impreza była jednostronna i obraźliwa dla Polski i Węgier” – przekonuje.



© GETTY IMAGES

Bitwa Kościołów

S pór rozgorzał wokół starań kijowskiego patriarchy **Filareta** o autokefalię dla jego Kościoła prawosławnego, czyli o kościelną niezależność tegoż odłamu ukraińskiego prawosławia od Moskwy. Niedawno rosyjski patriarcha Cyryl wybrał się do rezydującego w Stambule (dawnym Konstantynopolu) honorowego zwierzchnika światowego prawosławia, patriarchy ekumenicznego Bartłomieja, aby

wyperswadować mu ukraińską autokefalię. Jednak Bartłomiej wysłał z misją do Ukrainy dwu eparchów (biskupów), co w Moskwie odebrano jako kolejny krok ku autokefalii. Odpowiedź przyszła 14 września. Synod rosyjskiej Cerkwi zapowiedział, że (de facto) zrywa stosunki z Patriarchatem Ekumenicznym. Ostrzegł, że sytuacja w ukraińskim prawosławiu jest tak napięta, że może dojść do wybuchu przemocy.

Prezydent Poroszenko popiera Filareta, bo suwerenna Ukraina zasługuje na suwerenny Kościół prawosławny. I na tym odcinku może mieć szansę wygrać z Rosją. Ale za słoną cenę. Metropolita Hilarion, „minister spraw zagranicznych” Cerkwi moskiewskiej, powiedział w prokremlowskiej telewizji RT, że gdyby doszło do autokefalii, to część wierznych ruszy do obrony słynnych ukraińskich ławr (klasztorów) Peczerskiej czy Poczajowskiej przed ukraińskimi „schizmatykami”. Do dyskusji włączył się rzecznik prezydenta Putina Dmitrij Pieskow: Kreml uważnie obserwuje rozwój wypadków, jedność prawosławia jest najlepszym scenariuszem, a Rosja sprzeciwia się rozłamom. Tyle że Bartłomiej też jest rzecznikiem jedności całego prawosławia i rywalizuje o przywództwo z Cyrylem, sprzymierzeńcem Putina. Gdy podobny problem, jak w prawosławiu ukraińskim, pojawił się w niepodległej Estonii, Konstantynopol zaakceptował istnienie dwóch równoległych hierarchii prawosławnych, jednej przy nim, drugiej przy Moskwie. Taka opcja nie wchodzi jednak w grę w Ukrainie. Tu toczy się dziś bitwa, w której po obu stronach polityka spleta się ściśle z religią. Zwycięzca weźmie wszystko.

Ile Japonki w Japonce

W Japonii nie milknie wrzawa wokół 20-letniej **Naomi Osaki**, pogromczynie Sereny Williams w finale US Open. Sam premier Shinzo Abe na Twitterze pogratulował jej zwycięstwa. A wiele gazet wydrukowało specjalne wydania z krzyczącymi nagłówkami. Światowego rozgłosu sprawie nadał też skandal wywołany przez przegrywającą Williams, która po meczu oskarżyła sędziego o antyfeminizm, a karykaturzystów, którzy skwitowali jej zachowanie, o rasizm. Podczas wręczania pucharu, jak pamiętamy, Osaka została wybuchzana i miała łzy



© EAST NEWS

w oczach, a na konferencji prasowej mówiła, iż jest jej przykro, że wygrała i sprawy potoczyły się właśnie tak.

I dokładnie to najbardziej podobało się w Japonii i na wiele dni podbiło media społecznościowe. Ona ma japońską duszę – orzekły bez wahania: twarda i bezwzględna na korcie, cicha i skromna na co dzień.

Z tą japońską duszą sprawa nie jest oczywista. Mama Tamaki podczas studiów w Sapporo poznała Leonarda Fracois, czarnoskórego kolegę z Nowego Jorku pochodzącego z Haiti. Swoją związek długo ukrywali, rodzina Tamaki nie zaakceptowała małżeństwa. Odrzuceni w Japonii, wyjechali do Stanów, kiedy Naomi miała 3 lata, i ostatecznie wyładowali na Florydzie. Osaka ma dwa paszporty i gra w barwach Japonii, bo wybrała Japoński

Związek Tenisa, gdzie łatwiej zrobić karierę (uwaga: ma też siostrę, obiecującą tenisistkę). A teraz wszystko wskazuje, że rzuciła wyzwanie japońskiemu poczuciu czystości narodowej i za jej sprawą dokonał się mentalny przełom. Do tej pory takich jak ona, od ang. half, nazywano tu *hafu*, połówkami – i nie miało to pozytywnego wydźwięku. Kiedy trzy lata temu *hafu* Ariana Myamoto została japońską Miss Universe, komentarze w sieci były cierpkie, wręcz obraźliwe. Teraz ton zmienił się zasadniczo, podoba się nawet japońszczyzna Naomi, która „mało mówi, ale wiele rozumie”. Bo i czasy się zmieniają: Japonia przeżywa wielki kryzys demograficzny i kryzys tożsamości związany z koniecznością importu siły roboczej. Na razie wszyscy bardzo liczą, że Naomi pokaże klasę na igrzyskach w Tokio za dwa lata.

REKLAMA

N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A



W najnowszym numerze:

● BICEPSY PUTINA

Rusza nowy wyścig zbrojeń

● CHEMNITZ W OGNIU

Naziści rosną w siłę

● KEVIN? JAKI KEVIN?

Spacey wykasowany

● BHAD BHABIE

Koszmar w kłapkach Gucci

● ROSJA OBIECANA

Z RPA na Syberię

● POLUJĘ, BO LUBIĘ

Ostatni wielorybnik

● DŹAKARTA TONIE

Nowa Atlantyda

● MAMO, JESTEM SŁAWNA

Kariera na wyrost

● EUROPA ZŁUDZEŃ

Idzie koniec Unii?

● JĄDRO CIEMNOŚCI

Kongo pogrążone w wojnie

Manna dla nieba

System wynagradzania duchownych oparty na „co łaska” powoduje frustrację księży, rywalizację o lepsze parafie i pogoń za pieniądzem.



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

P

AGNIESZKA SOWA

azerność kapłanów stała się już w Polsce niemal anegdotyczna. Przywiązanie do dóbr materialnych, stojące w sprzeczności z dogmatem wiary i z przykładem płynącym z Watykanu od papieża Franciszka, to jeden z tematów wchodzącego na ekrany filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego. Tuż przed premierą internet obiegnęła informacja o proboszczu z białostockiej parafii, który pisemnymi wezwaniami, jak komornik, domagał się od swoich parafian zaległej kolędy. Sprawę nagłośnił syn parafianki, 79-letniej emerytki, która dostała wezwanie do zapłaty 400 zł, bo jej zaległości miały sięgać czterech

lat. Proboszcz każdą mszę niedzielną wycenił na 2 zł, wyszło mu 100 zł rocznie.

Zapewne wziął przykład z rzeszowskiego proboszcza, ten z kolei parafianom, którzy nie przyjęli księdza z kolędą, zostawił kartki na wycieracze z informacją o obowiązku comiesięcznego wspierania budowy parafialnego kościoła. Ile kto może, zaznaczył.

Bez cennika

Finansowanie Kościoła w Polsce to w 80 proc. dobrowolne ofiary. Rocznie ponad 700 mln zł. Choć episkopat nie pozwala na „cenniki” za chrzciny, śluby i pogrzeby, nieoficjalne są niemal w każdej

parafii. Tak jest w gminie Starcza (woj. śląskie), której mieszkańcy od maja domagają się w internetowej petycji odwołania proboszcza. U nich mniejsza niż w księgowym cenniku ofiara skutkuje zapisaniem w księgach parafii i w przyszłości taki wierny nie będzie mógł zostać chrześcijaninem. Na razie efekt jest taki, że ślubów w Starczy jak na lekarstwo.

Nawet jeśli nie ma cennika, to wielu pilnuje, by nie dać mniej niż to przyjęte. I tak ofiara składana przy okazji intencji mszalnej waha się od 10 zł w najuboższych rejonach, do 50–70, a nawet 100 zł w zamożnych. Ślub to minimum 500 zł, częściej, nawet w większych parafiach – tysiąc. Tu większość kapłanów wyznaje zasadę, że skoro można wydać kilkadziesiąt tysięcy na wesele i całą oprawę tego wydarzenia, to księdzu też się należy. Są i tacy, którzy tę samą zasadę stosują do pogrzebu, szacując wartość pomnika i inkasując 10 proc. jego wartości. Jak proboszcz z Kowali w diecezji radomskiej (już odwołany), który w ten sposób tłumaczył parafianom różnice w obowiązkowym „co łaska”. Tym zamożniejszym potrafił naliczyć dodatkową opłatę za otwarcie bramy cmentarza. Ale już np. w jednej z białostockich parafii córka chowająca swojego ojca usłyszała cenę 2 tys. Ksiądz wiedział, że dobrze zarabia w stolicy i „warszawka” bez targów zapłaciła. Najczęściej jednak za pogrzeb należy się ofiara od 200 do 1000 zł. Mniejsze datki są z okazji zbiorowych zazwyczaj chrzciny i komunii świętych: od 20 do 250 zł.

Czasem rodzice chcą bardziej elegancko ofiarować coś w darze dla kościoła. W podtoruńskim Czernikowie sprezentowali figurkę świętą, jednak ówczesny proboszcz orzekł, że nie pasowała do ołtarza, i oddał ją do hurtowni, licząc na zwrot gotówki.

Księża, którzy nie pracują jako katecheci czy kapelani, utrzymują się z pieniędzy ofiarowanych przez wiernych w podzięce za szafowanie sakramentami wynikającymi z tzw. prawa stały, *iura stolae*. A więc śluby, chrzciny, komunie, pogrzeby, wypominiki, intencje mszalne (większość księży może przyjąć tylko jedną intencję mszalną dziennie), a także pokropki, święcenia nowych ulic, rond, sklepów czy – jak ostatnio w Nakle nad Notecią – baru sieci McDonald’s. Darowizny dokonane przy tych okazjach są dochodem osobistym księdza. Jeśli parafia ma kłopoty finansowe, część dochodów z *iura stolae* może zasilić parafialną kasę, o ile tak zdecydował proboszcz.

– *Same intencje mszalne w PRL dawały księdzu taką solidną średnią krajową pensję* – mówi ksiądz Kazimierz Sowa. – *Dziś w biedniejszych parafiach to nawet nie jest minimalna płaca.*

Ratunkiem jest tzw. kołęda. Część pieniędzy zebranych przy okazji wizytowania wiernych w okresie świąt Bożego Narodzenia przeznaczona jest na potrzeby parafialne i diecezjalne. Ile trafi do kasy kurii, decyduje biskup, ile do parafialnej – proboszcz, bo resztę księża dzielą między siebie. Jak – decyduje proboszcz i on też z reguły dostaje największą część. Jeżeli w parafii jest dwóch wikarych, kołęda dzielona jest na ogół na cztery części, dwie dla proboszcza, po jednej dla wikarych. Takie nieoficjalne księże „trzynastki”.

Poduszne

Ofiary składane podczas mszy (czyli taca) są przeznaczone na utrzymanie parafii i diecezji. Do kurii najczęściej trafia jedna taca w miesiącu. Tak jest w diecezji tarnowskiej, skąd do kurii przesyłane są przez proboszczów datki zebrane w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Miesięcznie diecezja tarnowska osiąga z tej tacy wpływy ok. 300 tys. zł, rocznie ok. 4 mln zł (dane z 2012 r.).

W archidiecezji poznańskiej każda z 402 parafii obciążona jest stałym podatkiem, tzw. minimum miesięcznym. Nieco ponad złotówka liczona od jednej trzeciej mieszkańców parafii, gdyż według szacunków tylu mieszkańców chodzi do kościoła. Podobnie jest w archidiecezji warszawskiej: złotówka co miesiąc od każdego praktykującego. W lubelskiej parafii płacą podatek na cele ogólnodiecezjalne, „poduszne”, naliczany od liczby

mieszkańców zameldowanych na pobyt stały. Nieważne, chodzi o kościół czy nie.

– *W Polsce nie mamy żadnego systemu finansowania Kościoła* – mówi duchowny zajmujący się finansami jednej z diecezji, który zgadza się na rozmowę tylko anonimowo. – *Nikt nie chce się odważyć na wprowadzenie zmian, kultuwujemy to, co zastane. To jeden z poważniejszych problemów Kościoła.*

Żaden proboszcz nie powie, ile daje na kurie, a ile zostaje w parafialnej kasie. Żaden nie da mniej, niż biskup oczekuje. – *Są pod presją ordynariuszy i biskupów* – mówi dr hab. Paweł Borecki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zajmujący się prawem kanonicznym. – *Jeżeli chcą mieć wpływy, awansować, muszą wykazać się większymi datkami na rzecz diecezji.*

Niektóre parafie mogą liczyć na dodatkowe przychody z dzierżawy gruntów, działalności gospodarczej i dotacji unijnych. Ale podstawą jest taca. Więc to, czego biskup nie weźmie, proboszcz wydaje na ogrzewanie, prąd, gosposię, pracownika kancelarii, sprzątaczkę czy organistę. Pieniędzy z tacy nie wolno mu przeznaczyć na potrzeby prywatne.

Łaska jako kapitał

Większość duchownych uważa, że ofiary od wiernych im się po prostu należą. – *To m.in. skutek złej formacji seminaryjnej duchownych, upajania im, że są wybrańcami, których lud boży powinien utrzymywać* – mówi dr hab. Borecki. – *Az drugiej strony wciąż niskiej świadomości wiernych, że to oni, laikat, są Kościołem. Ksiądz jest postrzegany jako człowiek niezwykły, ktoś, kto ulega faktycznej sakralizacji, do którego podchodzi się w poczuciu uniżoności.*

Przykład dają politycy czapkujący Kościołowi. A sam model „co łaska” zakorzenił się w polskiej historii. Tak funkcjonował Kościół w Kongresówce i ten system odziedziczyła niepodległa Rzeczpospolita. – *W PRL to, że Kościół utrzymywał się z ofiarności wiernych, stanowiło o jego sile* – mówi dr hab. Borecki. – *Był jedyną nie w pełni zdominowaną przez komunistyczną władzę instytucją.*

Kardynał Stefan Wyszyński zabronił zgłaszania władzom oświatowym prowadzenia religii w kościołach. Nie chciał, by kapłani pobierali wynagrodzenia od państwa. Wszystko po to, by Kościół pozostał niezależny od komunistycznej władzy. I był, ale też nieźle sobie radził finansowo. Wierni byli hojni, chętniej niż dziś dawali datki, zapewne także dlatego, że niewiele można było za te pieniądze kupić. I tak w latach 80. na każde trzy świątynie budowane w Europie dwie wznoszono w Polsce.

Jeszcze w latach 70. Edward Gierek (jako I sekretarz PZPR), by podkreślić nową politykę wyznaniową państwa, przekazał Kościołowi kilka tysięcy obiektów sakralnych po kościołach niemieckich, protestanckich i katolickich na Ziemiach Odzyskanych. Padła też ze strony komunistycznej władzy propozycja przekazania dóbr ziemskich na gospodarstwa rolne proboszczów. Kardynał Wyszyński znów twardo odmówił, tłumacząc, że zadaniem duszpasterzy jest troska o wiarę wiernych, a nie administrowanie dobrami doczesnymi.

– *Wychodził z założenia, że wiara ludu bożego to prawdziwy kapitał, który będzie procentował* – mówi dr hab. Borecki. – *I nie pomylił się. Co prawda poziom praktyk religijnych z początku lat 80. jest nie do powtórzenia, ale jednak na tle państw europejskich frekwencja w polskich kościołach jest wciąż wysoka.*

Za mundurem sutanny sznurem

Gdy po 1989 r. zmienił się ustrój, Kościół, nie oglądając się na słowa kardynała Wyszyńskiego, przystąpił do masowych rewidycji przedwojennych nieruchomości.

W 1991 r. Jan Paweł II mianował Sławoja Leszka Głódzia pierwszym biskupem polowym, a prezydent Lech Wałęsa nadał mu stopień generała. Takim był początek restytucji ►

► Ordynariatu Wojska Polskiego. Dziś to 7 dekanatów, 80 parafii i 60 księży. W 2018 r. na duszpasterstwo wojskowe (łącznie Ordynariat Połowy Wojska Polskiego, Prawosławny Ordynariat Wojska Polskiego oraz Ewangelickie Duszpasterstwo Wojskowe) przeznaczono prawie 21 mln zł z budżetu MON.

Za wojskiem poszły inne służby mundurowe. I tak np. w Straży Granicznej jest dziś 19 kapelanów (a dokładnie 16 kapelanów i 3 dziekanów, z czego rzymskokatolickich – 11), co przez ostatnie trzy lata łącznie kosztowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji niemal 5 mln zł. Państwo wypłaca też pensje kapelanom szpitalnym, więziennym, pracującym na etatach w straży pożarnej, policji i w Biurze Ochrony Rządu. Pensje różne, w zależności od resortu, na ogół w okolicach średniej krajowej, ale niektórzy kapelani, zwłaszcza w szpitalach i więzieniach, drugie wynagrodzenie potrafią uskładać z nadgodzin.

Religia wróciła do szkół i od 1996 r. księżom katechetom także płaci państwo. I odprowadza składki na ubezpieczenie zdrowotne i społeczne. W niektórych diecezjach początkowo księża katecheci mieli oddawać parafii połowę swoich zarobków, ale szybko się z takich pomysłów wycofano. Ministerstwo Edukacji (a więc budżet państwa) wydaje rocznie na księży katechetów 350 mln zł.

– *Dziś już ok. 60 proc. księży, katechetów, kapelanów, wykładowców uczelni, pracowników kurii i instytucji kościelnych ma zagwarantowaną stałą pensję* – mówi ksiądz Kazimierz Sowa. – *Problem ma te pozostałe 40 proc.*

Roczne przychody parafii wahają się od 30 tys. zł do 400 tys. zł. Bo to, ile wierni dają na tacę, zależy od wielkości parafii i zamożności jej mieszkańców. Stąd duże różnice w dochodach duchownych z pracy duszpasterskiej: od 800 do ok. 5500 zł miesięcznie.

Wszyscy księża rozliczają się z podatków. Ci niezatrudnieni na umowę o pracę – ryczałtem, którego wysokość ustala co roku urząd skarbowy, głównie w oparciu o wielkość parafii. Płacą też „podatki kościelne”: na fundusz wspierania księży emerytów i chorych kapłanów (taki III filar, np. Braterska Opieka Kapłańska w archidiecezji poznańskiej), na misje i seminaria duchowne czy na spłatę kosztów swojego kształcenia w seminarium.

Śmietanka i kokosy

Nie zmieniło się jedno: księźda i Kościoła o dochody pytać nie wypada. Finanse Kościoła to według kleru sprawa duchowieństwa. Nieliczne diecezje rozliczały się ze swoich finansów (robił to m.in. zmarły abp Józef Życiński). Ogólnopolski raport finansowy Kościoła ujawnił tylko raz. W konsultacji z episkopatem przygotowała go w 2012 r. Katolicka Agencja Informacyjna. I jest to jedyne oficjalne źródło na temat finansów Kościoła i zarobków duchownych.

Raport pokazał ogromne dysproporcje. Roczne przychody parafii wahają się od 30 tys. zł do 400 tys. zł. Bo ile wierni dają na tacę, zależy od wielkości parafii, zamożności jej mieszkańców, regionu Polski i liczby wiernych uczestniczących w niedzielnych liturgiach. W małej wiejskiej parafii w diecezji tarnowskiej przeciętna niedzielną taca to 487 zł, w dużej miejskiej parafii w archidiecezji katowickiej – do 4 tys. zł. Tyle samo w małej parafii, ale w centrum Warszawy.

Stąd duże różnice w dochodach duchownych z pracy duszpasterskiej: od 800 do ok. 5500 zł miesięcznie. – *Skutkiem jest pogon za pieniądzem niektórych księży, rywalizacja o lepsze parafie*

– mówi dr hab. Borecki. Jedna z najbiedniejszych parafii to według raportu KAI Korytowo, licząca około 500 mieszkańców popegeerowska wieś w powiecie choszczeńskim na Pomorzu. Ksiądz proboszcz zarabiał tam wtedy 1381 zł, po odliczeniu składek zostawało mu na życie 843 zł miesięcznie. – *W tych najbiedniejszych parafiach księża naprawdę ledwo przedą* – mówi ksiądz profesor Andrzej Luter. – *A ok. 80 proc. duchownych nie ma może kłopotów finansowych, ale też żadnych kokosów. Śmietankę spija zaledwie kilka, kilkanaście procent.*

Autorzy raportu policzyli, że średnio dochody duchowieństwa wynoszą 1,5–2,5 tys. zł i są poniżej średniej krajowej. Jednak wyliczanie średniej nie ma żadnego sensu. Jak uśrednić księźda z Korytowa i proboszcza z Kasiny Wielkiej, który kupił sobie porsche za 400 tys. zł? Oburzenie jego owieczek wyrażone na gminnym portalu i na FB sprawiło, że po kilku dniach archidiecezja krakowska opublikowała deklarację księźda: sprzeda luksusowe auto, a uzyskane środki przekaże na Caritas.

W podziale dochodów wśród duchowieństwa nie ma solidarności. „W listach na Wielki Czwartek biskupi piszą nam, że mamy tworzyć wspólnotę – mówił w reportażu TVN o Władysław Oszańca, jezuita. – Tak by wynikało z Ewangelii i Soboru Watykańskiego II, ale jak tworzyć wspólnotę, kiedy jeden opływa we wszystko, a drugi nie ma co do garnka włożyć?”

Co łaska biskupia

Karoca jak z bajki o Kopciuszku, którą pięć lat temu na węgrowskiego Hubertusa przybył biskup Antoni Dydycz, pozostał symbolem przepychu kościelnych hierarchów. Oczywiście karoca nie należała do biskupa. Najczęściej także luksusowe limuzyny, jakimi jeżdżą hierarchowie kościelni, nie są ich prywatną własnością, tylko kurii. Kiedy kardynał Kazimierz Nycz został metropolitą warszawskim, podwładni z kurii kupili mu nowy samochód. Kardynał przekazał auto emerytowanemu kardynałowi Józefowi Glempowi.

Rezydencje, w których biskupi mieszkają, także są własnością kurii. Jak rezydencja metropolity gdańskiego abp. Sławoja Leszka Głódzia, zabytkowa (z 1828 r.), ogromna, piękna, w dużej części wyremontowana na koszt państwa. Wielki ogród, w którym biskup hoduje daniele, powiększono o działkę o powierzchni 3,3 tys. m kw. wykupioną od miasta za 1 proc. wartości (prezydent Adamowicz zgodził się na to, bo w zamian kuria zrzekła się praw do parku Olińskiego). Daniele są też w letniej posiadłości arcybiskupa znanego ze słabości do wystawnego życia, do której ma zamiar przenieść się na emeryturze. Jak opisał „Newsweek”, ten piękny pałac w Bobrowce na Podlasiu, rodzinnej miejscowości hierarchy, powstał w budynku starej szkoły, który wykupił arcybiskup. Posiadłość, 21 ha kupionych od miejscowych chłopów w latach 90., także należy do hierarchy. Sama ziemia warta ok. 1 mln zł. Abp Sławoj Leszek Głódź w latach 1981–91 był zatrudniony w watykańskiej Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich. A skąd mają pieniądze inni hierarchowie, którzy w Watykanie nie pracowali?

Jako pracownicy kurii zarabiają niewiele. Raport KAI podaje: w 2012 r. biskup pomocniczy w dużej diecezji zarabiał 4500 zł, a biskup połowy w stopniu generała 10 700 zł brutto. Metropolita warszawski arcybiskup Kazimierz Nycz w 2016 r. na rękę dostawał 2700 zł. Nawet biorąc pod uwagę, że na życie nie wydają ani grosza: kuria zapewnia mieszkanie, wikt, opiekę i transport, a niektórzy wydają książki i są wykładowcami na uczelniach, trudno uznać to za kokosy. Bo podstawą dochodów biskupich jest „co łaska”.

Po każdej wizycie duszpasterskiej, uświetnieniu jakiejś parafialnej uroczystości biskupią osobą, proboszcz zapraszającej parafii wręcza dostojnikowi kopertę. Zwyczajowo jest to 1–2 tys. zł. Są i ambitni proboszczowie, którym bardzo zależy